NUMER 32. DNIA 6. SIERPNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

JÓZEFA Z ZAGOROWSKICH ANC.

POGRZEB POETY-TUŁACZA.

(Dokończenie.)

Znałam osobiście Włodzimierza Wolskiego, dopóki go nie zmogła choroba piersiowa; przyjeżdżał do nas z Brukselli i te chwile zaliczyć muszę do jednych z najprzyjemniejszych.

Wzrostu więcej niż średniego, szczupły, blada twarz, okolona długim srebrnym włosem, zaczesanym tak, jak nosili wszyscy wybitni działacze z 1848 r. Wąs i spiczasta bródka biała, w oczach koloru stali odbijał się już to głęboki smutek, jużto ironja i gorycz. W obejściu skończony salonowiec.

Sylwetka Wł. Wolskiego była drukowaną w „Tygodniu“ (NN. od 22. do 29. z 1903 r.) przez panią Walerję Marrene Morzkowską, tam znajdzie czytelnik, kim był Wolski i jakie zajął stanowisko w literaturze naszej. Tego więc powtarzać nie będę, dodam tylko niektóre szczegóły.

W poezjach jego przebija nietylko gorące, namiętne pragnienie życia, wypowiedziane w wierszu:

„Do mnie pójdź, do mnie -- na co tych pieśni,
Tych sennych marzeń ułuda,
Nie śnią w około — i ty więc nie śnij,
W życiu, nie we śnie, są cuda“.

(„Życie“. Wł. Wolski).

Nietylko chęć uszczęśliwienia ludzkości, choćby na zgliszczach:

„Patrzę na ziemię, jak na skład prochu,
Na który piorun mój chciałbym zwalić!
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu.

(„Zapał“. Wł. Wolski),

lecz i głęboka miłość Ojczyzny, którą wypowiada poeta w „Śpiewach powstańczych z 1861. do 1863. r., gdzie w gorących słowach zachęca wszystkie warstwy społeczeństwa, aby wzięły udział w rozpoczętej walce z odwiecznym, śmiertelnym wrogiem.

I w myśl „Manifestu Rządu Narodowego“ w „Marszu powstańców“ nawołuje, aby budzić lud, bo tylko wraz z ludem możemy skruszyć kajdany niewoli:

„Za wolność, hasło jedynego celu,
Wy z miast od rzemiosł, coście wszędzie w przód
— — — — — — — — — — — — — — — — — —
Do chat, do ludu, budźcie wiejski lud!
— — — — — — — — — — — — —
A z ludem młoda Polska bohaterska
Wymiecie wrogów, jakby kupę plew!“

Poeta sercem obejmuje całą dawną Polskę i za nią to wzywa do walki:

„Za wszystkie męki Polski, męki Litwy,
W imieniu wszystkich naszej Rusi mąk“.
— — — — — — — — — — — — — — —

okiem ducha obejmuje całą krainę, i widzi:

„Jak szeroka ziemia nasza —
Na niej jeden tylko grób.
— — — — — — — — — — — —

(„Śpiew towarzyszów“. Wł. Wolski).

Biorąc czynny udział, tak w manifestacjach 1861. r., jak w 63. musiał opuścić ziemię rodzinną. Umysł subtelny, poetyczny odczuwa dotkliwiej jak inni dolę tułaczą, która go łamie, pogłębia wrodzoną ironję i pesymizm, powlekając je serdeczną tęsknotą za utraconą nadzieją nawet powrotu do ukochanej Polski. Lutnia jego milknie na długo. Cierpienia jednak i męki narodu gromadzą się w jego duszy i w końcu przelewa je na martwy papier. Tak powstaje szereg pieśni pod nazwą „Promyki“, wydanych w Brukselli.

„Z ziemi, gdzie dymią zgorzeliska czarne,
Gdzie sterczą z gruzów szubieniczne słupy,
Idziemy śmiało — jak duchy cmentarne,
Martwi na męki — jak chodzące trupy.

Nie traci jednak ani na chwilę nadziei, że za to wróg kiedyś srogo odpokutuje:

„I kat tej jednej nie wydrze nam wiary,
I knut w nas głosu tego nie oniemi,
Że za męczarnie nasze i ofiary
Krwi morza muszą spłynąć w carskiej ziemi“.

I że w końcu sprawiedliwość dziejowa wypełnić się musi:

„Bo choć zaleją brzeg rzeki powodzie,
Rzeka się musi zawrócić do łoża,
Choć dzicz się pastwi na wolnym narodzie,
Nie da go zalać dłoń dziejów, — dłoń Boża“ —
— — — — — — — — — — — — — — — —

(„*Marsz sybirski*“. *Wł. Wolski*).

I znów na długo poeta odkłada pióro, aby zarobić na skromny — bardzo skromny kawałek chleba. Dopiero, gdy Agrykola w 1878. r. rozpoczął szereg listów do „Kurjera Warszawskiego“, Wolski odpowiada mu pod pseudonimem Paterkula.

Agrykola zakochany w Belgji pisze:

„Ja kocham się w tych wieżach, co szczyt utopiły
W obłoki, w nieskończoność, w wieczność, aż do Boga...
Jestto symbol ludzkości, co łzawa, uboga,
Bez przystani za życia, szuka gniazda wyżej,
Gdzie się kąpie w lazurze jasne złoto krzyży“...
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Paterkul, którego dusza ciągle tęskni do Ojczyzny, odpowiada mu:

„I ja lubię gotyckie dziwaczne framugi,
Wysmukłych kolumn gaje i śmiałe wieżyce,
Co się wznoszą jak hymny w niebios tajemnice,
I ja lubię te strojne w ornamenta mury.
— — — — — — — — — — — — — —
Lubię... jak na cmentarzu lubi się przez chwilę
Podumać przy pomniku kształtnym na mogile“.

W następnym liście pyta Agrykoli, dlaczego określając kobiety różnych narodowości, pominął Polki, które Paterkul tak wysoko ceni:

„Zlekkaś wspomniał o Niemkach, Angielkach, Hiszpan-[kach,
Przednio zaś obrobiłeś rzecz o paryżankach,
— — — — — — — — — — — — — — — —
Czemu mi ogniem albo zadumą nie błysły
Czarne i szare oczy z ponad brzegu Wisły?
— — — — — — — — — — — — — — —
I w oczach ich się tai więcej łez wylanych,
I w sercu poświęcenia więcej dla wybranych,
Z którymi, że się nieraz wspólnie nacierpiały,
Wyższe też, szlachetniejsze wzniecają zapały.

Agrykola nie dał długo czekać na gorącą odpowiedź:

— — — — — — — — — — — — — — —
„Lecz co najświętsze, leży w duszy głębi —
Nigdy z niej w słowach nie wyjdzie na świat —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Dlatego Polki czarów i uroków
Nie odmalował mój kapryśny rym:
Bo łez błyszczących z wspomnienia obłoków,
Nie chciałem próżno wypowiadać nim...

Dla niej nie śmiechy, nie rymowe żarty —
Przed nią ze drżeniem kolano się gnie —
Krwią chętnie dla niej zapisałbym karty —
— — — — — — — — — — — — — —

Paterkul, choć zamieszkiwał krainę piękną, którą śmiało nazwać można wspaniałym ogrodem, przetkanym miastami, willami i zamczyskami, znużony życiem tułacza, złamany walką z losem, na apostrofy Agrykoli odpowiada w końcu:

— — — — — — — — — — — — — — —
„Nie kwitną u mnie róże, nie zielenią drzewa,
Nie latają motyle i ptactwo nie śpiewa.
Do marzenia o wiośnie, trzeba wiosny słońca...
— — — — — — — — — — — — — — — —

Były to ostatnie wiersze Włodzimierza Wolskiego, owe listy Paterkula do Agrykoli, drukowane w zbiorku poezji Merzbacha „Z jesieni“.

W życiu kolonji polskiej Wolski brał czynny udział, należał do grona założycieli „Towarzystwa czytelni polskiej“ w 1880. r., które zdaje mi się dotąd istnieje.

Może za dużo przytoczyłam ustępów z poezji Wolskiego? Dziś jednak szczerze powiedzieć mogę, tak mało on jest znany... Prawda, styl jego nie modernistyczny... lecz tak wiele w nim zapału, głębokich myśli, uczucia i miłości Ojczyzny.

Rzucam więc tę garść wspomnień w 23. rocznicę śmierci poety, na zapomnianą a może i zniszczoną jego mogiłę o setki mil od tak ukochanej przezeń Polski i kończę rzewną jego własną „Fantazją“:

„Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
Zasłużonego rycerza w boju,
Pili na stypie, pieśni śpiewali,
By wędrowała dusza w spokoju.
Ty, śpiewak, w obcym usnąłeś kraju,
Obcy ci piasek w oczy się sypie, —
Ja jednak, według przodków zwyczaju,
Choć pieśń żałoby nucę na stypie“.

(„*Szopen*“. *Wł. Wolski*).

JAN ŚWIERK.

„Siedmiożon“.

(Z cyklu: „W UPALNE LATO“.)

Aż w uszach dzwoni, tak muzyka rżnie. Dwóch skrzypków przegania się w śpiewie.

Jedne struny wołają: „wesele, wesele“, drugie mówią: „dana! dana!“, a bas huczy jak bąk na łące.

Co chwila rzuca ktoś basom do wnętrza ofiarę grosza, a w ślad za tem odzywa się głośne śpiewanie tancerza:

„Dziewczyna konała,
„Jeszcze się pytała,
„Czy na tamtym świecie,
„Będzie chłopca miała...
hu! ha!... hu! ha!...

Ja siedzę sobie pod ścianą chaty, słucham grania piskliwych skrzypiec, patrzę na ruchy drepcących w kółko na miejscu, aż przychodzi częstować mię „arbatą z rumem“ sąsiadka Marjanna, wesoła i gadatliwa kobiecina.

— Jakże im się widzi wsiowskie wesele?

— Ładne, wesołe; a kiedy wy mnie na wesele swoich dzieci prosić będziecie?...

— Córkę tośmy już ożenili łońskiego roku, daliśmy pół-szosta zagona za nią i dwie stówki, a on niby ma swojego pola jedenaście zagonów i dom, a należy mu się jeszcze spłata od szwagra, co się przyżenił do gospodarstwa, jeszcze stówka. Niby tera należy żynić syna, ale to taki...

Machnęła ręką i patrząc na tańczących, śpiewa:

„Żyni się córka, syn zagrodnicy...
„Zyszli się oboje nie robotnicy...
„Wode grabili, piasek wiązali,
„Po tej robocie tydzień leżali...
hu! ha!...

— Niema tu waszego syna na weselu? — pytam po chwili.

— Niema. Pojechał do Ostrawy. Odegnałam go kiedysiech od chaty; kiedy nie przynosisz „geltagu“, to idź sobie, nie będę ci dawała ani wichtu ani przyodziewy. Wzion w sobotę „geltog“ półpięta ryńskiego i „przewerdybował syćko“.

— Co to znaczy?

— Nie wiedzom? Ot jak taki „siedmiożon“, co jeno przepije, przepali, na dzygara straci, przehula syćko, gdzie takiemu do żeniaczki, kiedy on co miesiąc inną kocha.

— To niełądnie! Czemuż go nie oduczycie?

— Ciewy! Chłop jak się uda na „lompa“, to już mu nicht rady nie do, nicht go nie przerobi. Ojciec jego taki sam był, bo niby ja tera za drugim, a ten syn z „pirszego“, bo tamten pomar będzie temu 19 roków po Siewnej w dwie niedziele, to na niego po ojcu przypada sześć zagonów i pół domu. Tak, ojciec jego taki sam był.

— Siedmiożon?

— Juści! Trzy razy na zapowiedzi dawał z innemi dziewczętami, a ze mną się ożynił. A jak był we wojsku, to przez niego jedna się mało nie utopiła. Tak i ten mój syn, werdyba do niczego. Posyłał na zrękowiny za rzekę, do „gdowy“, co ma 6 zagonów osobno, a 4 morgi w „kupie“, potem już szły zapowiedzi jego z tą „Miną“ czarniawą, co zaraz blizko was, ale i nie ożynił się. Syćko na mnie woła, co ja winna, co ja matka, czemu nie dam rady, ale jak sie taki siedmiożon uda, to i nawet sam ksiądz plebon z parafji rady nie da.

Skrzypki przestały grać. Kręcące się w kółku pary przestały wirować, a i śpiewające piskliwie starościny usiadły cicho na ławach.

Moja gadatliwa sąsiadka podaje mi raz po raz szklanicę arbaty z harakiem i gada a gada.

— Tamtego drugiego roku, to we wsi nawet jedna pomarła przez takie zgorszenie, bo mąż jej, chocia już miał z nią czworo dzieci, zaczął z drugą dziewuchą werdybować, tak się kobiecisko zagryzło i umarło, ale kazała, aby po śmierci ją komisyja pokrajała, jako, żeby powiedziała całemu światu, co ona przez „siedmiożona“ zeszła ze świata. Co sie nie stało? On sie za kwartał ożenił z trzecią, wziąn bogacką córkę, dostał 5 stówek, jałówkę i 6 poduszek.

Teraz do skrzypków rzucił pan młody groszy parę, rżną wesoło, parobczaki poczynają przytupywać, dziewczęta migają krasnemi spodnicami i gorsecikami, a że się ma ku wieczorowi, tłum widzów powiększa się.

Dookoła stoją gromadki, wracające z pola i patrzą z zazdrością na tańczących, ja zaś myślę, jakby wydostać się z wiru i wracać na ciche miedze, po których teraz rosa już się rozsypała i koniki polne grają z cicha.

Wysuwam się przez tłum, przeciskam się przez wał widzów, gdy na nieszczęście dojrzała mię starsza matka, narobiła wrzawy, basiści drogę zastąpili, muszę siadać znów pod ścianę i słuchać opowiadania Marjanny, o jej troskach z „siedmiożonem“.

Pyzaty księżyc wszedł wysoko. Między gałęziami starej gruszy widać jego blask, derkacze z łąk wołają, gdzieś tam z lasu idzie echo szumu wieczornych modłów, a Marjanna gada i gada.

— „Siedmiożon“ jak się utrapi, nie ma na niego żadnej rady, co miesiąc inną będzie kochać, geltogu nie odda, a nawet i ksiądz z parafji nie przerobi... cy nie prawda?...

— Tak! tak! szczera prawda. Na „siedmiożonów“ nie ma lekarstwa ani na wsi, ani w mieście — jeszcze mi w ucho kładzie sąsiadka.

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

Z pomiędzy wszystkich stanów fizjologicznej działalności naszego organizmu, sen odegrał niezaprzeczenie najbardziej wybitną, a zarazem i najwięcej zawiłą rolę w historji rozwoju zabobonów, przesądów i wierzeń, wśród wszelkich ludów i narodów.

Tajemniczość, w jaką przystrajano rozmaite objawy snu, o wiele przewyższa te, w które oblekano sprawę obiegu krwi, trawienia, przyswajania, płodzenia, etc. Żadna z nich nie dała pierwotnemu człowiekowi podstawy do tak daleko idących wniosków, jak sen; bo jeżeli np. ludy barbarzyńskie dostrzegły pewien związek, istniejący pomiędzy spożywanym pokarmem, a nastrojem ducha swego, i z tej racji powstał zwyczaj karmienia się ciałem istot śmiałych i odważnych, ażeby wzbudzić w sobie męstwo, jeżeli następnie ludożerstwo w ogólności stało się prawie zjawiskiem powszechnem, jako rezultat tego wierzenia dziecinnego, i jeżeli dalej akt płodzenia wywołał pewną ilość przesądów dziwacznych — to jednak wszystko razem wzięte, nie może nawet przybliżenie dorównać tym niezliczonym objawom przesądów i wierzeń, jakie powstały na tle stanu organizmu, który snem nazywamy.

Przesądy, dotyczące snu, są objawem ogólnym wśród wierzeń całego człowieczeństwa, one są tak stare, jak ludzkość, a tak uporne, jak każdy akt przesądny ciemnoty człowieczej. Ludy najbardziej dzikie i ludy kultury, cieszące się dzisiaj najwyższym poziomem cywilizacji, stoją pod względem wierzeń sennych jeszcze i w obecnej dobie prawie na jednym poziomie. Raz zakorzeniony przesąd trwa wieki całe — tu widzimy sprawdzenie przysłowia, że „czem się skorupa za młodu napije, tem i na starość trąci“, a my mamy przed sobą to wielce ciekawe zjawisko, że w intelekcie ludzkim, nawet u osób „bardzo wykształconych“, nawet u mężów wysokiej nauki specjalnej np. „matematyków“, trwają jeszcze po dziś dzień przesądy i wierzenia, jakie tłoczyły duszę władców Assyryjskich i dawnych proroków starożytności.

Inaczej rzecz się ma z nauką. Wiedza ścisła, jakkolwiek nie wyjaśniła jeszcze dotąd wszystkich momentów, związanych z czynnością organizmu podczas snu, jakkolwiek różne jego rodzaje, jak np. sen hypnotyczny somnambuliczny etc., czekają na dalsze wszechstronniejsze badania, wszelako zdołała ona wyświetlić, z całą stanowczością, jedną z najważniejszych kwestji, najbliżej nas obchodzących, że sen człowieka we wszystkich swych formach jest czynnością fizjologiczną, prostą, nie kryjącą w sobie żadnej cudowności, ani jakichkolwiek bądź elementów nadprzyrodzonych, że przedewszystkiem sen odbywa się w warunkach, gdy narząd centralny duszy tj. mózg, jest w czynności swojej upośledzony, będąc bądź zmęczony, bądź zatruty. To też trucizny wszelkie, jak np. napoje alkoholowe, opjum etc., obniżają działalność mózgu, to samo ma miejsce i przy zmęczeniu fizycznem, albo duchowem. Sen tedy z tego punktu widzenia rozpatrywany jest w porównaniu z czuwaniem — aktem fizjologicznym niższej wartości czynnościowej. Poznanie dokładne snu i marzeń sennych może być dokonane tylko pod warunkiem użycia metody porównawczej, stopniowo-rozwojowej, t. j. poddając doświadczeniom całe szeregi form zwierzęcych i roślinnych, wyższych i niższych. Na nieszczęście jednak dla postępu wiedzy, badali i dotąd jeszcze w wielu wypadkach badają sen człowieka w oderwaniu od świata zwierzęcego, zaś istotą samą snu zajmują się przeważnie tacy filozofowie, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o naukach przyrodniczych, stąd wynikają wielkie szkody dla oświaty, jak każdy się o tem przekonać może, zważywszy, ile to osób ze sfer t. zw. wykształconych, zajmuje się dotąd na serjo okultyzmem, ile z nich przewiduje nawet erę wznowienia praktyk okultystycznych i wzdycha do niej, jako do epoki, mającej odrodzić społeczeństwo; następnie jaka moc osób, liczących się do inteligencji, wierzy jeszcze w nadprzyrodzone zjawiska, związane ze snem. Wszystkie tego rodzaju poglądy nie miałyby miejsca z pewnością, gdyby nie ta okoliczność, że wiedzy przyrodniczej nie uznaje się dotąd za konieczną dla wykształconego człowieka, usunięto ją z programu studjów lekarskich, teologicznych, filologicznych, filozoficznych, historycznych, jako balast zupełnie niepotrzebny; cóż więc dziwnego, że widzimy zamiast postępu, cofanie się wstecz społeczeństwa, które nie jest w stanie przyswoić sobie rezultatów wiedzy, boi się ich jako grzesznych, gdyż uważa je za niezgodne z zestarzałymi poglądami, z przesądami, datującymi z czasów niemowlęctwa ludów.

My zwykle walczymy z Germanami o to, że Kopernik był Polakiem, gdy oni go mienią Niemcem, szczycimy się nim obecnie, jako ziomkiem swoim, i dumni jesteśmy, że jest on krwią krwi naszej — kością kości naszych, ale czy zastanowiliśmy się chociaż chwilę jedną nad tem, że popełniamy straszną niekonsekwencję, wychwalając za-

sługi Kopernika, gdy ten wygłaszał prawdy śmiało, bez względu na to, czy one były zgodne z dogmatami wiary katolickiej, czy nie. Kto ma pretensję do przodowania, ten powinien iść na czele, a nie wlec się na tyłach, jak marudery, i czekać z uznaniem prawdy wieki całe. Trzeba mieć odwagę czynu a nie bierność i apatję niewolnika.

Jestem przekonany, że gdyby dzisiaj po raz pierwszy wypowiedział był Kopernik swoje poglądy genjalne, zrywając z całą teorją starą Ptolemeuszów, to my bylibyśmy pierwsi, którzybyśmy go potępili, wyparli się jego pokrewieństwa rodowego i z ambon go wyklęli, gdyż idąc za zdaniem n. p. „Przeglądów katolickich“, uznalibyśmy go za niedowiarka, heretyka, burzyciela dogmatów, za człowieka, gotującego zgubę dla ludzkości. Czyż nie mamy powodów dostatecznych do takich sądów, dotyczących większości naszego społeczeństwa? Wszak dosyć wziąść do ręki nasze czasopisma klerykalne, ażeby się przekonać, że mamy rację. My naszym uczonym, głoszącym prawdę wiedzy, nie dalibyśmy nigdy miejsca na grób w Westminsterze, lecz kazalibyśmy ich pochować na rozstajnych drogach, jako zbrodniarzy, którzy śmieli targnąć się na świętość przesądów i zabobonów, do których przyrośliśmy nierozerwalnie i bez nich żyć nie potrafimy. Po co robimy tedy minę, że heretyckie myśli Kopernika nas obchodzą, wolelibyśmy trwać w przekonaniu, że dla nas został cały świat stworzony i że na naszą pociechę słońce krąży dokoła ziemi. Tacy ludzie, jak Kopernik, Galileusz, Darwin mogliby nie istnieć dla nas, bo zakłócają tylko niepotrzebnie spokój, uzyskany na łonie wiary, my i dzisiaj jeszcze nie doroślismy do wyżyn prawdy, dla nas prawdą jest to, co „Przeglądy katolickie“ za prawdę podają a z ust wysokich dygnitarzy kościoła słyszeliśmy nakaz, mieć tylko „prawdę katolicką“ na względzie. Co jednak taka prawda znaczy, to wiemy z historji tych tysiąca męczenników, którzy zginęli walcząc za wolność myśli, wolność słowa i za wolność swoją osobistą.

Ludzie tak przywykli do samego zjawiska snu, które jest pozornie dostępne dla własnego doświadczenia, że uważają siebie za najzupełniej uprawnionych do sądów o nim, a to na podstawie osobistych obserwacji. Jeden np. z moich znajomych, „wykształcony“ obywatel ziemski, oświadczył mi pewnego razu, że śniły mu się sroki, więc że na pewno będą ku wieczorowi goście, inny znowu wykształcony powiadał, że w razie, gdy mu się przyśnią błyskawice i grzmoty, będzie najniezawodniej piękna i jasna pogoda. Jak czynili praojcowie, tak czynią dzisiaj ich potomkowie. Pamięć rodowa nie tylko że nie może być dźwignią postępu i ro woju, ale jest hamulcem, z którym postęp walczyć musi najzawzięciej. Im człowiek jest mniej wykształcony, tem w nim pamięć rodowa czyli instynkta są silniej rozwinięte i uwydatnione. Dla wieśniaka, nieumiejącego czytać, nie mającego o niczem pojęcia, słońce i księżyc chodzą i dotąd dokoła ziemi po niebie, rządzonem przez Piotra św.; dla przeciętnego obywatela ze społeczeństw kulturalnych, sen jest rozłąką chwilową duszy z ciałem, jest bratem śmierci. Sen tedy wyraża u nas powszechnie oswobodzenie czasowe duszy z więzów cielesnych, gdy śmierć natomiast ma oznaczać rozłączenie duszy z ciałem, aż do chwili sądu ostatecznego. Takiej pamięci rodowej nie pokonała u nas dotąd wiedza. Zjawiska perjodyczne: sen i czuwanie, spokój i praca, zajmowały od zarania życia kulturalnego człowieka, jego umysł dziecinny. Całe tysiące mędrców duchownych i świeckich zajmowało się nim, znajdując w ten sposób środki do panowania nad tłumem ciemnym i przesądnym. Sen dał początek wierzeniom w cuda, był kolebką wiary o duszy, jako bezcielesnej, samoistnej istocie, czasowo związanej z naszą fizyczną osobowością, a ktoby chciał dać wiary dzisiaj temu, że sen był źródłem, skąd wypływa ten olbrzymi potok filozofji transcendentalnej i dualistycznej. Senne marzenia uznawano za akt, pośredniczący przy obcowaniu z duchami, oku ludzkiemu niedostępnymi. We śnie odbierali prorocy rozkazy niebios, u ich łoża zjawiali się aniołowie etc. etc. Gdy przywołamy na pamięć wszystkie nam znane opowieści historyczne i biblijne, dotyczące snów, to będziemy mieli jasne pojęcie o tem, ile to faktów ważnych, dziejowych, zawdzięcza swój początek sennym marzeniom człowieka.

Przytoczę tu choć jeden z takich przykładów, poezją uwieczniony:

„Giedymin, kiedy na Ponarskiej górze
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilji widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym;
I zbudzony za Bogów rozkazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.

Podług tradycji, Giedymin miał sen na górach ponarskich o żelaznym wilku i za radą Lizdejki (arcykapłana), założył miasto Wilno. Podobnych tradycji o zakładaniu miast wskutek rozkazu Bogów, we śnie widzianych, jest pełno. Klasztory Tybetańskie, cudowne pustelnie Buddyjskie etc., wszystkie one mają początek w marzeniach sennych.

Przesądy tkwiące w obserwacjach, czynionych przez przodków naszych nad snem i sennemi marzeniami, wryły się drogą dziedziczności, czyli pamięci rodowej, tak głęboko w umysły wszystkich ludzi, że my dzisiaj spadkobiercy ich wierzeń, otrząsnąć się z nich nie możemy, a iluż to z naszych ziomków z zabobonnym przestrachem rozmyśla o snach swoich i wyobraża, że one są przepowiedniami przyszłości bliższej lub dalszej, albo też ostrzeżeniami zsyłanemi z niebios. Nie będzie to chyba przesadą, jeżeli powiem, że dziewiędziesiąt dziewięć setnych z pomiędzy rodaków naszych, tonie jeszcze dotąd w przesądach Faraonów egipskich lub potężnych władzców Assyrji, w stosunku do znaczenia snów. Nie byłoby to dziwnem odnośnie do tłumu ciemnego, ale i u szczytów cywilizacji stojący filozofowie wypowiadają takie zdania, które świadczą, że i oni nie daleko odbiegli od wierzeń pospólstwa. Tak np. oświadcza jeden z owych filozofów, że dla niego sen pozostał i pozostanie zagadką nierozwiązaną. Pyta on naiwnie „Skąd biorą się nasze widziadła senne? Jaką ich jest geneza? Jakim tajemniczym przekształceniom ulega duch ludzki w czasie snu ciała? W jaki niepojęty sposób umysł nasz, sprowadzony do skromnej roli widza, spogląda na snujące się przed nim fantastyczne obrazy i wizje? Oto szereg zagadnień, powiada ów filozof, nad których rozwiązaniem pracowano oddawna. Kwestjom tym poświęcano mnóstwo ksiąg, studjów i artykułów, ale jak dotychczas, zagadka została zagadką“.

Tak, wiele rzeczy w kwestjach trawienia, przyswajania pokarmów strawionych, obiegu krwi, oddychania, wydzielania, płodzenia etc. pozostaje zagadką, nad rozwiązaniem której pracuje usilnie wiedza, ale osnowa rzeczy samej stała się jasną. Człowiek trawi, oddycha etc., tak, jak i zwierzęta, on też ma i senne marzenia, odbywające się według tych samych praw, co u zwierząt. Jeżeliśmy wybrnęli szczęśliwie po kolei z cudów trawienia, płodzenia etc., to chciejmy też siłą woli rozumnej wybrnąć i z dziedziny cudów, dotyczących marzeń sennych, i cudów odnoszących się do wydarzeń codziennych naszych i wydarzeń historycznych.

Nic nie może być bardziej demoralizującem, i dla pojedynczego człowieka i całych społeczeństw, jak wiara dziecinna w cuda, w zjawiska nadprzyrodzone, wkraczające dowolnie w granice stałych praw przyrody. Przez takie akty wiary traci się z konieczności energję do czynu, nie polega się na własnych siłach, ich się nie skupia, nie wyrabia, natomiast czeka się na pomoc, skąd jej być nie może, skąd jej nie było i nie będzie. Mahometanizm np. daje nam dowód dotykalny, do czego lenistwo ducha i głupota myśli może doprowadzić lud skądinąd dzielny, czynny i rzutki.

Tylko głębokie przeświadczenie o niezmienności praw zasadniczych przyrody poznanej, tylko uznanie przyczynowości najścislejszej we wszystkich objawach życiowych na ziemi i objawach fizycznych wszechświatowych, może nas wyleczyć z przesądów o istnieniu cudownoścl i poleganiu na niej, z tej choroby, najszkodliwszej dla zdrowia ducha człowieczego.

Nauki przyrodnicze nie mają pretensji, ażeby dawać do ręki gotowy i wykończony pogląd na świat, ale one dają świadomość, że pracuje się nad wytworzeniem jasnego, rozumnego światopoglądu, że znoszą się dziecinne przesądy, zabobony, że się oświetla drogę do postępu, takiem oświetleniem dróg jest też i jasne pojęcie, że sen nie ma w sobie nic ani tajemniczego, ani cudownego.

Musimy i to sobie dokładnie uprzytomnić, że „pieczone gołąbki nie spadają z nieba do gąbki“ i że jak w życiu, tak i w wiedzy „Trzeba nie jedno miłe zburzyć i inaczej odbudować“; więc śmiało zabierać się należy do burzenia przesądów i zabobonów, bo to jest obowiązek obywatelski nnjpierwszy każdego, co pragnie lepszej przyszłości dla kraju i ludzkości. Grzechem jest niedarowanym i brakiem odwagi haniebnym, zachowywać bierność i apatję w obec zła i ciemnoty.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Z młodych Niemiec.

Owa odwrotna strona systematyczności niemieckiej, pielęgnowana z całą bogobojną pieczołowitością przez landratów i hofratów, owa zasadnicza cnota niemieckich gospodyń i niektórych uczonych, owe podłoże brutalnej polityki państwowej, ta zabójcza solidność każdego przeciętnego filistra, musiała w końcu wywołać pewnego rodzaju reakcję.

I tak... z jednej strony ostateczne konsekwencje tego drobnomieszczańskiego pedantyzmu wytworzyły ludzi jakby na jeden szemat ulepionych, których duszę można wyśpiewać w przeciągu kwadransa, ludzi o patentowanym, kieszonkowym cynizmie, który ex officio rozwiązuje wszelkie problemata i pytania, jakie przynosi życie, płacących jednak regularnie długi praczce, krawcowi i t. d.

I taki stan stał się prawie obowiązującym, prawie niezbędnym warunkiem dla utrzymania odrębności narodowej i potęgi politycznej, chciano go widzieć wszędzie i jako solidny naturalizm w sztuce i jako nieubłaganą kompromisowość w etyce indywidualnej i społecznej.

Tymczasem z drugiej strony jako nieubłagane następstwo faktów wyłonił się cały szereg krańcowo odmiennych ludzi, istot plujących na wszelką systematyczność i solidność, cyganów o nieokreślonem zajęciu i bardziej jeszcze nieokreślonych środkach utrzymania, włóczęgów prowadzących żywot motyli i pasikoników. I kiedy tacy twórcy, jak Mombert lub Schlaf, zdala od zgiełku i gwaru tonęli w swoich mistycznych wizjach, wsłuchani w ponurą samotność serc własnych, kiedy Liliencron tworzył swoje spokojne a tęskne obrazy nastrojowe, a Henchell, Dehmel i Mackay szukali podkładu dla swoich utworów w potężnych ruchach społecznych, to tamci woleli w szalonej brawurze życia upić nieco z upojnie pieniącej się czary. Kiedy cały szereg uczonych pracował nad dalszemi konstrukcjami filozoficznemi, nad stworzeniem wytycznych nowym gałęziom wiedzy, to ta wesoła rodzina wolała z ładnemi kobietami włóczyć się po knajpach, imponować wściekłą werwą poczciwym obywatelom i od czasu do czasu napisać zjadliwy wierszyk, błyskotliwą bluetkę, jakiś dramat o szalonym pomyśle i tytule, lub też jakiś filigranowy feljeton.

I tak powoli coraz bardziej zaczęła róść ta falanga młodych ludzi, włóczących się po wszystkich kątach Europy, ciągle szukających nowych wrażeń, zawsze wyczekujących nieznanych przeżyć, nadspodziewanych wypadków. I są to dusze o niesłychanej subtelności nerwów, zdolne chwytać w każdym fakcie rzeczy dla drugich zupełnie niedostrzegalne, a pełne są one tego ogromnie bolesnego cynizmu, za którego maską ukrywa się cały świat tajemnych marzeń i tęsknot.

A jednocześnie to ludzie niezdolni do stworzenia czegoś na szerszą miarę zakrojonego, obejmującego w sobie pewien doskonały całokształt, pewną we wszystkich szczegółach samoistnie wykończoną syntezę — każdy ich utwór większą posiadający wartość, to raczej tylko jeden stan bezpośrednio wyrwany z duszy, jeden strzęp gwałtownie z życia wyszarpany.

I kiedy jeden z takich „panów", a mianowicie Frank Wedekind w swoim ostatnim dramacie „Hidalla, oder sein und haben" starał się dać właśnie tę brakującą podstawę całej swej filozofji życiowej — to widać w tem raczej więcej groteskowości w pomyśle, szukania nadzwyczajnych efektów, dużo owego zręcznego konstrukcjonizmu literackiego, mniej zaś rzeczywistej, głęboko przeżytej i w karby świadomości ujętej rzeczywistości.

Podczas kiedy gdzieindziej i kiedyindziej podobni ludzie opierali się głównie na problemacie walki, na stawianiu nowych wartości, tworzeniu zupełnie nieznanych kierunków literackich — to ci nie mają w sobie nic innego, oprócz spowiedzi z bolesnej wiwisekcji życiowej, nic prócz zjadliwej, rozpacznej ironji. A jednocześnie z pogardą dla samych siebie łączyło się wielkie poczucie odrębności — i może ono właśnie pozwalało bryzgać niemieckiemu filistrowi w twarz najzjadliwszą, bo aż rozpaczliwą ironją.

I w taki właśnie sposób powstało kilka lat temu jedenastu sławnych monachijskich „scharfrichterów" z Frankiem Wedekindem na czele — a kiedy wśród najegzotyczniejszych akcesorji i pomysłów za pomocą satyry, najrozmaitszych piosnek, scen dramatycznych, wyciągano na światło dzienne wszystkie śmiesznostki małomieszczaństwa, to publiczność siedziała przy stolikach z dobrodusznym uśmiechem na ustach, łykając spokojnie jasne lub też ciemne piwo.

I nie wiadomo, czy w końcu gościom sprzykrzyło się słuchać, czy też poetom znudziło się wymyślać — dość, że kabarety upadły, a weseli artyści rozbiegli się mniej lub więcej po świecie, zawsze szukając tej nieznanej a wyśnionej przyszłości, zawsze włócząc się z ładnemi kobietami po knajpach, pisząc wiersze, feljetony i t. d.

A została po nich tylko hulaszcza piosenka, w której dziwnie się plączą zgrzyty cynizmu i ciche tony tęsknoty, pieśń raz pełna dumy niedostępnej, to nagle z nienacka odkrywająca najboleśniejsze, najtajniejsze rany duszy. A szał ten drżący beznadziejną żądzą upojenia się, bo zapomnienia o wszystkiem, co minęło i pragnący zakryć skrzętnie łachmany dawnych snów — tylko czasami przerwie jakiś straszliwy krzyk z tamtej strony, tej, pełnej zagadek, ciemności i lęku.

Większość z nich, to ludzie, którzy podobnie jak Gorkij, przeszli przez najgorszą nędzę materjalną, którzy prowadzili żywot „wagabundów", włóczęgów, sypiali po schroniskach nocnych najgorszego rzędu i tam poznali całą ponurą tragedję życia, która później stała się zawsze dźwięczącą nutą w ich utworach. Kiedy twórcy innych narodów potrafili w ludzie znaleść raczej harmonijność, raczej potężne, spokojne, niemal klasyczne tony i tę zaklętą siłę, której brakowało nie tylko w literaturze, ale i w ży-

ciu narodowem, to tamci widzieli przedewszystkiem przed sobą tę straszną machinę dzisiejszej cywilizacji, która wykoszlawia setki ludzi i rzuca ich w ramiona prostytucji, nędzy i występku. I fakt ten mógł tylko jeszcze bardziej przeciągnąć strunę pesymizmu i zjadliwości, bo zabrakło im tej równowagi duchowej, która wydała takich twórców, jak Żeromski, Anatol France, Héjermans, Dehmel lub Verhareen. I zdawać by się mogło, że dekadentyzm jako p o j ę c i e r e a k c j i minęło najzupełniej, że, spełniwszy swoje zadanie n e g a c y j n e w literaturze i życiu społecznem, stał się już tylko stanem przejściowym — tymczasem nietylko o jego istnieniu, ale i o nim jako konsekwencji w rozwoju i postępie społeczeństwa przekonuje nas tutaj cały szereg ludzi takich, jak Małgorzata Beutler, Frank Wedekind, Scharf, Drescher, Krille, Hille, Binde, Ostwald i wielu innych.

I chociaż w literaturze niemieckiej nie można mówić o żadnych ogólnych kierunkach, a tylko o pewnych grupach ludzi w niewielkim ze sobą będących związku, to jednak zjawienie się tych ludzi nie może być bynajmniej niespodzianką — przynoszą oni bowiem szmat duszy współczesnej, wydarty bezpośrednio z życia, najzupełniej istotny, pozbawiony wszelkiej sztuczności i balastu sentymentalizmu. I główną zasługą powyżej przytoczonych poetów jest to, że znaleźli oni prawdziwe, niefałszowane uczucie tam, gdzie go się zupełnie nie spodziewano, w typach ludzi zepchniętych na dno społeczne. I jest to zasługą, bo przez to okazała się jednolitość duszy ludzkiej i jej niczem niedający się zniszczyć podkład uczuciowy — te poezje są dowodem, że człowieka można wykoleić, poszarpać go na strzępy, zepchnąć na najniższy szczebel ustroju społecznego, ale i tam nawet zjawią się bujne chwile życia i tam trafi przemożna pani, tęsknica.

Może najbardziej charakterystycznym z tomików podobnych poezji, jest niedawno wydany zbiorek przez Hansa Ostwalda pod tytułem: „Lieder aus dem Rinnstein“ — charakterystycznym dlatego, że oprócz utworów powyżej wymienionych poetów, zawiera on dużo pieśni rzeczywiście wśród ludu krążących, spisywanych nieraz po schroniskach nocnych, najrozmaitszych spelunkach, podrzędnych kawiarniach i t. d.

I spotykamy tam pieśni prostytutek, marzących o czasach czystego dzieciństwa, złudy włóczęgów podczas zimy o wiośnie, kiedy to wśród potoków słońca i upajającej zieleni będą wędrować w nieznaną, uroczystą dal, a wszystko to, jak i u poetów, pełne dygresji cynizmu, to znowu uczuć, które bądź co bądź przewyższają niejednego „wyperfumowanego barbarzyńcę w cylindrze“, niejednego pomadkowego poetę — bo przecież i między tymi odepchniętymi znajdzie się nieraz „dziecię dni świątecznych“.

Stanisław Dzikowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Przegląd historyczny. Dwumiesięcznik naukowy. T. I. Lipiec—Sierpień, Zeszyt I. Warszawa 1905. Świeżo ukazało się nowe czasopismo historyczne, wychodzące w Warszawie, którego wydawcą jest Fr. Puławski, a redaktorem J. K. Kochanowski.

Wychodząc z założenia, że w historji „szukać nam przedewszystkiem drogowskazów na przyszłość, aby ustrzedz się błędów przeszłości“, nowe to czasopismo stawia sobie jako cel „uwzględniać całe życie dziejowe narodu, całe dzieje jego zbiorowej duszy we wszystkich jej przejawach...“

Dzieli się na trzy główne części, na rozprawy samodzielne „z historji polskiej, oraz powszechnej, ze szczególnem uwzględnieniem „historji Słowian“, na sprawozdania z różnych dzieł i na Miscellanea.

Część pierwsza w tym numerze przedstawia się bardzo obficie, jest tu cały szereg rozpraw bardzo ciekawych, jak n. p. Gumplowicza: „Historja a socjologia“, Brücknera: „Próbki najnowszej krytyki historycznej“ (chodzi o sprawę biskupa Stanisława Szczepanowsniego z Bolesławem), Wł. Smoleńskiego: „Udział szlachty mazowieckiej w elekcjach królów“, interesujące studjum Br. Łozińskiego: „Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu“ i kilka innych, obejmujących mniej więcej wszystkie epoki historji polskiej.

Za to w dziale drugim, sprawozdawczym, daje się odczuwać brak ocen rzeczy polskich, bo z wyjątkiem jednego tylko dzieła Kraushara „Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk“, wszystkie inne tam ocenione są to dzieła obce, z których kilka niekoniecznie łączy się nawet z historją polską a takie n. p. L. Leroy: „Fleurs de poësie arabe“ nadaje się raczej do omówienia w jakiemś czasopiśmie literackiem, a nie historycznem polskiem.

Część trzecia zawiera notatkę, przedstawiającą dwa wypadki uratowania skazańców od śmierci w ten sposób, w jaki Zbyszko został uratowany w „Krzyżakach“.

Myśl wydawnictwa tego pisma jest bardzo dobra, to też godzi się życzyć redakcji, która obrała sobie hasło „Veritas liberabit nos!“, by nie spotkał jej los niemcewiczowskiego przedsięwzięcia, lecz owszem, by czasopismo jak najpomyślniej się rozwijało.

Bronisław Pawłowski.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.